

oryg. u A.R. - Włocławek  
(poza-styp. /  
nie-oprac.).

Stanisława Nodzyńska z d. Napłocha

Rełacje nagrana przez Janinę Wołoszuk

© ARCHIWUM WSKŁONIE

I/566

Stanisława Nodzyńska, ur. 27 września 1907 r. w miejscowości Łuniniec, województwo poleskie. Rodzice Adam i Jadwiga z d. Kosińska. W domu nas było 5 dzieci: Apoloniusz - oficer Wojska Polskiego, Dariusz, Felicja i Czesława, nazwisko Napłocha. Ja byłam z nich najstarsza. Po maturze i po kursach nauczycielskich w okresie letnim /bo takie były/ dostałam posadę nauczycielki w miejscowości Łukasitnica /?/ w powiecie łuninieckim. Tam pracowałam trzy lata od 1929 roku do 1932 włącznie, potem rozchorowałam się trochę. Starłam się o pracę w Łuniniecu. Dostałam się na kurs pocztowy, ukończyłam go i w r. 1933 rozpoczęłam pracę w zawodzie pocztowym. Poznałam męża - leśnika, wyszłam za niego w 1937 roku i razem znaleźliśmy się w miejscowości Ruda Jaworska. Mąż pracował jako leśniczy a ja pracowałam na poczcie. To było w powiecie nowogródzkim, nadleśnictwo Zdzięcioł. Ruda Jaworska była rozległą wioską. Było sporo <sup>(wówczas)</sup> nauczycieli, gdyż była szkoła. Nazwisk nauczycieli nie pamiętam. W Rudzie mieszkała ludność mieszana. Byli prawosławni i katolicy. Rozmawiali miejscowym językiem, takim poleszuckim. Wydawało się, że wszyscy są nam przyjaźni. <sup>(szczerzy)</sup> Kiedyś widziałam pogrzeb prawosławny z popem, ale ludzie śpiewali polskie pieśni religijne. Później mi wyjaśniono, że ludzie <sup>Polacy</sup> za czasów carskich byli tam siłą nawracani na prawosławie, a wcześniej byli unitami. <sup>Byli noszący do Niemców</sup> Rzeczywiście nazwiska tam były polskie: Borkowski, Borowski, Uznański, Łukaszewicz. To wszystko byli właściciele majątków. Kiedy zamieszkaliśmy tam, to był budowany kościółek. Mąż starał się, by w Rudzie wybudować Dom Ludowy. Parafia dla katolików była w Nowogródku. Prawosławni mieli cerkiewkę swoją na miejscu. Pop był stale w Rudzie, a ksiądz dojeżdżał. W Rudzie był aptekarz, weterynarz, nauczyciele i pracownicy poczty - to cała inteligencja. Byli trochę dalej pracownicy nadleśnictwa.

Stanisława Nodzeńska c.d.

w składach drewna. Kiedy weszli Sowieci, przechodziliśmy okropne chwile. Kiedy wtargnęła do mojego mieszkania /a mieszkaliśmy w mieszkaniu służbowym przy poczcie/ milicja ludowa /czy ich ORMO/ i mówią, że ja już nie jestem potrzebna, że my nie jesteśmy potrzebni. To byli przeważnie ludzie z Rudy i z Wielkiej Woli. Była tam też wioska Kopcie - to było środowisko komunizujące, oni byli tam mocno zorganizowani. Kiedy w naszym sądzie był jakiś minister Kopeć, to mi się zawsze wydawało, że on jest z tych komunizujących kiedyś Kopców.

Wyrzucili więc nas z tego służbowego mieszkania. Schroniliśmy się wtedy u państwa Łankiewiczów - oni nas przysgarnęli na kilka dni. Łankiewiczowie mieszkali w takim dworku w odległości 2 km od Rudy. Po kilku dniach przyszło paru uzbrojonych po męża. Powiedzieli, że zabierają męża - to byli tutejsi uzbrojeni ludzie. Wojsko rosyjskie też już było. Ci ludzie powiedzieli, że mąż jest wrogiem narodu, bo pilnował lasu, żeby ludzie nie brali drzewa. Ale taki był przecież jego obowiązek. Po drodze spotkaliśmy wojsko. Zabrano męża do Wielkiej Woli, tam był sztab wojskowy. Mąż zaczął badać wojskowi, pytali, na czym polegała jego praca. Mąż powiedział, że w każdym państwie musi być porządek, że lasów nie wolno rozkradać. Na to jeden z tych milicjantów mówi, że mąż mój nawet go kiedyś uderzył. Mąż przyznał, że mogło to się zdarzyć. Wojskowi przesłuchali waz męża, potem zadali mi parę pytań. W końcu mężowi dali przepustkę, żeby go więcej nie aresztowywali. Wróciliśmy znowu do państwa Łankiewiczów. Po pewnym czasie okazało się, że na poczcie beze mnie nie dają rady. Przyszli więc do mnie, żeby wróciła do pracy. Ale ja na to, że nie mam takiego rozporządzenia, bo wcześniej jako urzędnik państwowy dostałam zarządzenie o ewakuacji. A nowe władze nie dają nam żadnego przydziału do pracy. Znajomi ludzie zaczęli przynosić nam żywność, pomagać. Po pewnym czasie dostałam zarządzenie, że mogę przystąpić do pracy na poczcie.

W tym momencie  
do na plac  
i wypłakali  
ze łez  
Strela  
Ja wpada  
i mówię do  
nich

Mąż błędy  
jak szansa  
nie ma  
odpowiedzi  
nie wiem  
się z nimi  
dużo  
W końcu  
narodzi

V<sub>2</sub> Julia

V<sub>2</sub> organizacja - 1945 - Julia

Stanisława Nodzeńska c.d.

A mąż jeszcze był bez pracy, oni nie dostali zarządzenia. Rozpo-  
cząłem pracę, nie chodziłam już specjalnie nigdzie. Ale jeszcze  
był ksiądz, nauczyciele. W ostatni dzień przed naszą wywózką zebra-  
liśmy się jeszcze u nas. Zaczęliśmy już k jakoś żyć, dostałam już  
pensję, coś się kupiło, dostaliśmy opał.

Tego wieczoru graliśmy chyba do dwunastej w nocy w karty. W nocy  
usłyszeliśmy łomotanie do okien i do drzwi. Musieliśmy otworzyć.  
Przyszło trzech żołnierzy i czterech uzbrojonych ludzi - miejscow-  
ych - z czerwonymi opaskami. Dali nam dwie godziny na zapakowanie.  
Zapytałam, dokąd mamy się zabierać. Odpowiedzieli, że przewiozą  
nas w lepsze miejsce, bo tu jesteśmy niebezpieczni. Kazali pakować  
wszystko. Ale ci miejscowi mówili, żebyśmy nic nie brali, bo poje-  
dziemy na wygodne życie. Będą takie urządzenie, że po naciągnięciu  
jednej klamki będzie światło /u nas prądu jeszcze nie było/, z kra-  
nu będzie leciała ciepła woda, będzie wygoda. A żołnierze sowiec-  
cy mówili: "Chosiajuszka, bieri wsio", bo pojedziemy daleko. Żołnie-  
rze zaczęli nam pomagać w pakowaniu. Mieliśmy duży wiklinowy kosz  
- i oni do tego kosza wszystko nam pakowali. Kazali wziąć maszynę  
do szycia, rower, wszystko. Kazali zabierać - na sprzedaż. Bardzo  
dobrzy byli ci żołnierze.

Załadowali nas na furę i powieźli. Myśleliśmy, że tylko nas  
wiozą, ale wywozili całą służbę leśną - ludzi z leśniczówek, ga-  
jówek - wszystkich wykłapali. Na stacji stał olbrzymi pociąg, ze  
40 wagonów. Płacz, krzyki, ludzie z małymi dziećmi, z noworodka-  
mi, ze wszystkich stron. Załadowali nas do wagonów, chyba ze 30  
osób. W wagonie prycze, pośrodku piecyk. Czekaliśmy jeszcze parę  
dni, póki załadowali cały pociąg - i pojechaliśmy. W wagonie byli  
ludzie, którym nie pozwolono nic zabrać, nawet jedzenia! A nam po-  
zwolono wszystko zabrać, tak że zabraliśmy to wszystko, co wcześ-  
niej nam ludzie pozosili - kasze, słoje, tłuszcz, chleb. Na gra-  
nicy przeładowywali nas na szerokie tory. Tutaj przeżyłam na nowo

2

√ 3/10

Tego wieczora  
niech dawa  
przynędy  
wiedzieli  
miejscowi  
pup, apidka  
i nas dwoje

Mąż stał  
długo ja  
związanym

Stanisława Nodzenska c.d.

rozpacz, kiedy uświadomiłam sobie, że to już ostatni skrawek naszej <sup>Polshy</sup> ziemi jest przed moimi oczyma. *czy to ten wagon to jakby wana polska ziemia*

Warunki w wagonie były niesamowite. Była niesamowicie ostra zima, <sup>prawie -40°</sup> jeden piecyk na środku wagonu. Ludzie różni - jedni zgodliwi, drudzy niezgodliwi. Każdy ciągnie dla siebie. Dobijamy się do tego piecyka, każdy chce sobie coś ugotować. Na postojach ludzie starają się pozakatwić swoje potrzeby. W wagonie są z tym kłopoty. Najgorzej miały dzieci - w wagonie to duchota, to zimno. W wagonach zaczyna dokuczać głód. Przyjechalismy na miejsce gdzieś koło 8 marca. W drodze były kłopoty z wodą, z jedzeniem. *nie ma wody - cięsto było się dusić z głodem*

Dotarłismy do Archangielska, jesteśmy na olbrzymiej sali. Zgromadzono nas na jakiej ogromnej sali. Straszne przepełnienie. Jęk, płacz, zgrzytanie zębów i modlitwy. Ludzie starzy byli całkiem bezradni. Przetrzymano nas tam parę dni. Potem przewieziono nas pociągiem gdzieś dalej i tam podzielono na mniejsze grupy. Do Uksory przywieziono nas ze 300 osób - były trzy baraki. Wieźli nas potem na saniach - część za traktorem, część za koniem. Jechalimy w Szengurski rajon, do Uksory chyba ze 40 dni. Jechalimy całymi dniami w trzaskającym mrozie. Na nocleg zatrzymywalimy się w chatkach - ogrzanych; poza tym gospodarze mieli obowiązek dać nam <sup>kipiak</sup> wrzątek. Na podłodze leżało trochę słomy czy siana do spania. Czasami dawali nam kawałek chleba. W oczy się rzucało, że kiedyś te domki były bardzo schludne. To były drewniane domki, z rzeźbionymi ozdóbkami, z ganeczkami - ale <sup>teraz</sup> te domki były zabite deskami, nie było w nich ludzi. Dowiedziałam się, że młodzi puciekali z tych wiosek, zostali tylko starzy i dzieci. W czasie rewolucji <sup>w 1904</sup> bandy napadały na ludność wiejską. Młodzi opuścili ten wieś. *z zimna*

Przywieźli nas na Uksorę. Przydzielili nas do baraków. Przenocowalimy, a na drugi dzień do roboty. Nic nam nie dali - ani odzieży, ani butów do tej pracy. A ja na przykład jechałam tak, jak chodziłam - w pantofelkach, a na nich śniegowce. I w tym trzeba było iść do pracy. W kantorze dostalimy narzędzia -

*W to jak jest bieda, to i w gospodarstwie mierała 99*

*Tudra, miedzy, dawać*

Stanisława Nodzeńska c.d.

1 ... na leśnicostwo. Człowiek tych narzędzi nigdy w życiu w rękę nie trzymał, a tu trzeba rąbać. Mróz trzaskający, nie ma w co się ubrać. Miałam futerko, podwinęłam je, bo było dosyć długie /taka pelisa/, podpasałam się jakimś sznurkiem - i poszłam do roboty razem z mężem. Chodziliśmy w tzw. brygadach: trzy kobiety i trzech mężczyzn - i dawać robotat'. Wyznaczyli normy - po trzy m<sup>3</sup> na osobę i kazali rąbać las. A tu nikt z nas do takiej pracy nie przyzwyczajony. Mój mąż był leśniczym, ale jak czasem trochę drzewa porąbał, to już był chory. A tu zaczęła się praca. Chleba dawali po 40 dkg, jakąś kromkę trzeba było wziąć do lasu. Chleb był okropny, czarny jak ziemia - i nic więcej. Była stożówka, ale nam do tej roboty przywozili tylko kipiaterki - i nie więcej. Pracować trzeba było od ciemna do ciemna. Budziliśmy się gdzieś około godziny piątej, bo o szóstej już musieliśmy być na wyrębie - i do ciemna: czy się robiło, czy się nie robiło, ale trzeba było być na posterunku. Roboty były różne: mężczyźni spuszczyli drzewa z pni, kobiety osękowały - gałęzie składało się na kupę i potem się spalało. Siedzieliśmy potem przy tym ognisku.

strona 2.

Ja pracowałam w brygadzie z mężem. Był w brygadzie z nami Antoni Kucharski, Plachimowicz i mój mąż, byłam ja i Plachimowiczowa i jeszcze jedna kobieta - mężczyźni byli wszyscy ze służby leśnej: Kucharski był nadleśniczym, a mój mąż i Plachimowicz - leśnicy. Plachimowiczowa przed wojną nie pracowała.

Poza wyrębem lasu były inne roboty. Wiosną chodziliśmy do lasu, korowałyśmy drzewa takimi hebelkami. Składaliśmy je w sągi, trzeba było wyrobić po 3 m<sup>3</sup> na osobę. Na samą wiosnę był spław. Szliśmy nad rzekę Wągę. Przez całą zimę nad rzekę zwożono drzewo, a na wiosnę trzeba było to przy pomocy drągów spuszczyć do rzeki. wysiłek to był niw/wielki. Czasami przewozili nas z miejsca na miejsce, ale najczęściej szliśmy po kilka km na piechotę - tam już były przygotowane baraki. Nocowali tam na kupę mę-

Stanisław Rodzeńska c.d.

czyżni i kobiety - smród, brud i robactwo. Ja najczęściej pracowałam na spławie. *Oługuła była to robota, trzeba było dopilnować żeby nadało to zabrać i żeby pić;*

Miałam kontakt w tym czasie z rodziną, dostawałam listy od rodziców, którzy jeszcze byli w Łunincu. Dostawałam <sup>traż</sup> paczki od rodziców. Dostałam też paczkę, którą nadał w imieniu całej wioski Rudy Jaworskiej pop prawosławny. Napisał, że wysyłają mi paczkę zbiorową, żebyśmy przeszli - i że modlą się za nas. Potem dostaliśmy jeszcze inną paczkę też ze składek. Rodzice przysyłali paczki często.

Na Uksorze przeżyłam święta. Na Wielkanoc do roboty szło się normalnie, święta były bez żadnego echa. *Julio kawałek z ziemi* Potem było karczowanie lasu. Ludzie starali się znaleźć choć kawałeczek ziemi, żeby coś posiać czy posadzić, ale tam nic nie rósło, bo to była zmarzlina. Ziemi nie przemarzniętej było tylko na głębokość łopaty. Ale myśmy początkowo nie wiedzieli o tym.

Latem było najgorsze to, że była niesamowita ilość kowarów i <sup>WV</sup>leszek. Wstawaliśmy rano po nocy i nie poznawaliśmy siebie, tyk byliśmy pogryzieni. Najmniejszy skrawek nieosłoniętego ciała był pocięty. W nocy też nie można było zasnąć, bo strasznie dokuczały pluskwy. To były domy budowane z drewna i uszczelniane mchem. Te pluskwy mogły żyć po kilka lat bez żadnego pożywienia /podobno do 7 lat/ i potem wszystkie wykazyły. Gryzły tak piekąco, że ja w ogóle nie mogłam spać. Człowiek się robił strasznie nerwowy. Poza tym byłam wykończona tą tęsknotą za krajem, za rodziną.

Dla dzieci był zorganizowany żłobek, było też przedszkole.

Najgorsze było to, że nam nie dawali żadnej odzieży - ni ochronnej, ni żadnej innej, tak że wszystko, co mieliśmy swoje - to snosiliśmy. Napisałam do rodziców, żeby mi przysłali jakieś kurtki, jakieś spodnie - coś, w czym można by było chodzić do pracy. Na wiosnę powiedzieliśmy, że nie mamy w czym chodzić, żeby dano nam obuwie. Przewieziono więc nam łapcie - Łykows. Powiedziałam przedsiębiorcy, że taki ich kraj bogaty, a takie buty dają, że my nie wiemy, jak to

Stanisława Modzeńska c.d.

się zakłada. To on nam pokazał, jak się te kaptcie zakłada, jak się wiąże.

Robota była tak ponad siły, że ja ledwo-ledwo nogami ruszałam. Jeszcze nie można było, ja nie mogłam nic przesłknąć, kiedy zobaczyłam, jak te potrawy były gotowane: szczi - to taki rzadki kapusniak na wo-  
 dzie z odrobiną oliwy i robakami; grzyby <sup>(kawałek, duży grzyb)</sup> woźmuchy i czasami makaron. <sup>zamiast dałam mi samowiar</sup> mój mąż trochę jadał, a ja nie mogłam. Jakoś całą wiosnę przeżyliśmy. <sup>(grzyby) lato w białej</sup> Latem chodziliśmy na grzyby. Ale lato było bardzo krótkie - w maju rozpoczynały się zrostopy. Śnieg topniał w oczach, w ciągu paru dni wszystko się stopiło i wkrótce potem rozkwitły kwiaty. Niektóre były bardzo piękne. Lato kończyło się gdzieś w połowie lipca. I znów zaczy-  
 niała się zima. Jedyną pociechą były listy - od krewnych, od znajomych. <sup>znowe pisał (zmi)</sup> Znowu przysłała zima, znowa te brygady, znowa ta sama robo-  
 ta. Znowu niesamowite ilości śniegu. Kiedyś mąż musiał mnie odkopać ze śniegu, bo wpadałam bardzo głęboko. <sup>po tym</sup> Kiedyś, kiedy pracowałam przy obcinaniu gałęzi, zobaczyłam nagle, że drzewa lecą na mnie. A to <sup>spitawani</sup> padały te drzewa spuszczone przez młocznym. Na szczęście wpadłam po-  
 między drzewa - i straciłam przytomność. <sup>segami?</sup> Dookoła ustawili się wszyscy ludzie i czekali, czy ja otworzę oczy, czy nie; czy ja żyję - czy nie. <sup>potem</sup> Radość była olbrzymia, kiedy okazało się, że jestem żywa. Na-  
 czelnik K<sub>0</sub>szów <sup>potem</sup> wziął mnie na sanie i odwiózł do baraków. <sup>potem</sup> Bolała mnie głowa, bo byłam ogłuszona.

W ja powiechnała a kukur... (dźwięk)

W powiechnała... (dźwięk)

W powiechnała... (dźwięk)

Potem pracowałam przy omiataniu śniegu z drzew, bo były bardzo zasypane i przy udeptywaniu drogi, ponieważ śniegu było dużo i był bardzo puszysty. Cały dzień bez przerwy deptaliśmy ten śnieg. <sup>tu taki byłam... (dźwięk)</sup> Pewnego razu przyjechał lekarz, żeby przeprowadzić badania. Powie-  
 dział, że ze mną jest kiepsko. Napisał, że ja nadaję się tylko do lekkich robót. Ale okazało się, że lekkich robót nie ma. Nie poszłam więc do pracy. <sup>Wtedy</sup> Wówczas weswał mnie komendant, żebym się usprawied-  
 liwiła, dlaczego nie chodzę do pracy. A w tym czasie mój mąż był już <sup>Wtedy</sup> aresztowany za to, że nie wyrabiał normy. Prawie nikt nie wyra-





Stanisława Rodzicka s.d.

(w 10<sup>2</sup>!)

Na święta Bożego Narodzenia każą nam iść do roboty. My na to, że to są nasze święta i my chcemy je świętować. Przynieśliśmy w wigilię choinkę z lasa, ubraliśmy ją papierkami. Zrobiliśmy wspólną kolację - każdy coś dał. Podzieliliśmy się chlebem jako opłatkiem. Potem zaczęliśmy śpiewać kolędy i inne pieśni religijne. A w naszym

baraku w drzwiach

wskazy do baraku

baraku mieszkał komendant. Nasze pieśni bardzo mu się podobały. Po-  
czątkowo krzyczył, że nie wolno śpiewać, ale potem zamilkł. Powiedzieliśmy  
ze pospiewamy do 12-11 a potem pojedziemy spać

w Uksorsie spotkałam jakiegoś pastelnika - popa, który mieszkał tam od lat, chodził w jakiejś takiej szacie, miał chatynkę, mówił, że mieszka z bogiem, żywi się nieznanymi i tym, co ludzie dają.

W 1941

Zimą zaczęli chorować ludzie. Pierwszy pogrzeb przeżyliśmy wszyscy bardzo mocno. Zmarł starszy pan, który miał przepuklinę. Pogrzeb był jak masowa procesja, dzieci sypały kwiatki. Miejscowi patrzyli na nas z dużym zainteresowaniem. Potem zaczęło umierać dużo ludzi, przede wszystkim dzieci.

Wiosną 1941 r. zabrali męża na spław, odeszła wtedy z Uksory cała gromada ludzi. Odprowadzili ich, powiedziały, żeby szli niewolnikami, a wrócili wolnymi. I moje słowa się sprawdziły! W czerwcu zaczęła się wojna Związku Radzieckiego z Niemcami - usłyszeliśmy o tym z głośników, była akurat niedziela. U nas wybuchł antyżydowski Rosjanie tego nie rozumieli. A my już żyliśmy w napięciu.

V lubo

Gdzieś we wrześniu zwołano nas wszystkich na zebranie. Przyjechał jakiś przedstawiciel z Szengurska czy z Archangielska. Zaczął przemawiać do nas bardzo wnikliwie, przypominał, że jesteśmy patriotami, że jesteśmy bitni. Zapytał, czy chcemy iść razem z nim na front. Wszyscy chcieli iść na front. Żyjemy już w oczekiwaniu, ale wyżymienie jest coraz gorsze, żyje się coraz ciężiej.

Lubie

Jesienią dostałam kartkę, z której się dowiedziałam, że i moi rodzice wywieźli, i braci, i siostrę. Wszyscy się znaleźli w Altajskim kraju, w Barnaulu. Rozpacz całkowita! Mama staruszka, ojciec też. Zaczęliśmy się zastanawiać, co robić. Zdecydowaliśmy się na wyjazd. Wyjechaliśmy chyba 1 grudnia - jedliśmy przed siebie, bo

Stanisława Nodzeńska c.d.

ani mapy, ani nic nie mamy, a kraj olbrzymi. Wtedy z Ułsory nikt chyba poza nami nie zdecydował się wyjechać. Dojechaliśmy do Archangielska różnymi środkami lokomocji - i traktorami i na saniach. Po drodze pozostawialiśmy nasze rzeczy. Nam samym pozostały tylko nie-duże tobozki. Przyjechaliśmy do Archangielska, a tam tłumy ludzi - jedni jadą na wschód, drudzy na zachód. Wojsko w jednym kierunku, a ludzie - w innym. Miejsca w pociągach nie ma. Spotkałem jakiegoś Żyda, który poradził miejsce w pociągu kupić. Za ców? Mąż sprzedał coś jeszcze z rzeczy, kupił jakieś odiekołon /wodę kolonską/ - i za to można było zdobyć jakieś miejsce /odiekołon chodził jako alkohol/. Postaliśmy te miejsca w pociągu. Podróż nasza trwała gdzieś od 4 listopada do 4 grudnia. Przyjechaliśmy do Barnaulu - mróz, śnieg! Siadaliśmy wczesnym rankiem na dworcu. Trafił się jakiś chłop, zdeklarował się zawieźć nas <sup>Barnaulu!</sup> pod wskazany adres. Przyjechaliśmy, pytany o rodzinę Naplochów. Ale dowiedzieliśmy się, że rodzina moja wyjechała - niewiadomo, dokąd. Znaleźliśmy wreszcie znajomą - sąsiadkę rodziców z Iunicka. Okazało się, że rodzice pojechali w kierunku Ałma-Aty, gdzieś do Fergany. A my już nie mamy pieniędzy. Zdecydowaliśmy się pozostać w Barnaulu, zarobić trochę pieniędzy i starać się zdobyć adres rodziców. Mąż poszedł do pracy do jakiejś cegielni, ja też poszłam jakąś czas gotować. Zatrzymaliśmy się tam do wiosny - i potem dalej w ruch.

W końcu kwietnia wyruszamy w dalszą drogę. Jedziemy przez Ałma-Atę i trafiaamy do Ługowej. To jest na pograniczu Uzbekistanu i Kazachstanu. Okazuje się, że tam jest pobór do wojska Andersa. My się olesamy. Stawiamy się na ten pobór - obdarci, wyniszczeni, wygłodzeni. Mąża przyjmują do wojska, a mnie - nie. Ja zostaję na łodsie. Ale mąża nie wcielili odrazu, chwilowo zostawili go jeszcze. Staram się odnaleźć moją rodzinę. Dowiedzieliśmy się, że rodzice są po <sup>truba mef</sup> drugiej stronie gór Tian-Szan, <sup>do</sup> w Dolinie Fergany.

Mąż znowu poszedł do pracy, <sup>w Nowoułdarsku</sup> ja narazie nie pracowałam. Potem w wielki Piątek 1942 r. dostaje mąż wezwanie do wojska. P, wiedział,

Stanisława Nodzenska c.d.

żebym jechała razem z nim, ale ja nie byłam pewna, czy mnie tam przyjmą. Postanowiliśmy, że mąż po ulokowaniu się i rozpoznaniu sytuacji da mi telegram i ja wtedy przyjadę. I tak się stało. Czekalam na wiadomość od męża, ale nic nie przychodziło, bo mąż trafił akurat na kwarantannę tyfusowo-dezynteryjną. Wtedy w wojsku też umierało dużo ludzi. Mąż otrzymywał moje telegramy i listy, ale stamtąd nie mógł do mnie przekazać. W rezultacie mąż wyjechał z wojskiem do Iranu, a ja zostałam tu.

Dowiedziałam się wówczas, że jest mąż zaufania ambasady Rzeczypospolitej Polskiej na rejony Kaliniskoje i Panfilowski. Dowiedziałam się, że w Kaliniskoje jest placówka, zgłosiłam się tam, zaczęłam rozmawiać. Powiedziałam, że byłam kiedyś przed wojną nauczycielką, ale potem pracowałam w innym zawodzie. On bardzo się ucieszył, powiedział, że mamy do zorganizowania polskie przedszkole i szkółkę i bardzo potrzebni są nauczyciele.

#### taśma II

W tym zorganizowanym przedszkolu polskim kierowniczką zaopatrzeniową była p. Maria Patłowa, ja byłam wychowawczynią i nauczycielką, pracowałam z dziećmi - to było w <sup>ce 2</sup> Nikołajewkie, w kołchozie im. Engelsa, w Kirgizji. W przedszkolu tym było około 30 dzieciaków, w różnym wieku - od dzieci szkolnych do takich maluchów 2-3-letnich, przysprowadzanych przez rodziców. Dzieci przychodziły tylko na dzienny pobyt, a wieczorem wszystkie dzieci szły do domu. /Mam tutaj zaświadczenie o tym, że tam pracowałam/. Pracowałam tam od 17 maja 1942 roku. Dostaliśmy tam lokal - bezpłatny, bardzo dużo darów - amerykańskich, bo wtedy Sowieci mieli jakiś układ z Amerykanami. Dostawaliśmy bardzo dużo żywności: mąkę, kaszę - to przychodziło za pośrednictwem Rosjan do naszej ambasady. Było masło, sery, cukierki, czekolady, mleko kondensowane, śmietanka kondensowana. Tak że dzieci były na początku bardzo dobrze odżywione. W lokalu było pomieszczenie na klasę - szkółkę, była dosyć duża kuchnia, przedpokój.

Prowadziliśmy tam zajęcia prawie tak jak w przedwojenne szkole

Stanisława Modzeńska c.d.

polskiej, była więc religia, historia, język polski, matematyka, geografia. Wszystko, co człowiek jeszcze miał w głowie, to starał się dzieciom przekazywać. Dzieci sycynały naukę prawie od zera, bo były już dłuższy czas <sup>W Rosji</sup> bez nauki, to zapomniały prawie wszystko cokolwiek umiały. Były też przecieź maluchy. Pracowaliśmy bardzo zgodnie. Bardzo dobrze nam się pracowało z p. Marią Patlową.

Potem sycyna się dramat. Dramat z Sikorskim. Kiedy serwano porozumienie z Sikorskim, to my straciliśmy zaraz pracę. Przedszkole nie zostało zamknięte, tylko usunięto personel. Znowu jesteśmy na bruku. Na miejsce p. Patlowej przychodzi p. Szewkan - Rosjanka, Jelena Pietrowna. Na moje miejsce przysyłają jakiegoś Żyda, który sycyna na naukę odrazu od marksizmu-leninizmu. To był polski Żyd. Dzieci <sup>Nie pamiętam nazwiska, bo mi chodziło</sup> przychodziły i opowiadały, że ten pan jest głupi, bo opowiada, że <sup>nauczył</sup> człowiek od małpy pochodzi, że z kamienia pochodzi. A my przedtem <sup>na</sup> prowadziliśmy tę szkółkę inaczej. Ja miałam taki obrazek - wywiozłam z Rudy dwa obrazy: Serca Jezusowego i Serca Matki Boskiej - odbyły ze mną całą podróś i wiszą teraz tutaj. Te obrazki wisiały u mnie w szkółce. Zaczynaliśmy lekcje zawsze modlitwą, potem były lekcje, potem rozrywka, potem gimnastyka, potem spacer. Dzieci dostawały w szkole śniadanie, obiad /jedno lub dwa dania/. Dzieci przychodziły przez cały tydzień, również w niedziele i święta. Do domu szły dopiero wieczorem.

Jak się zmieniły władze w przedszkolu, to odżywianie się pogorszyło. Te produkty amerykańskie zostały gdzieś zablokowane. Przedszkole przeszło na wikt sowiecki, ~~rosyjski~~. A przedtem przez te parę tygodni odżywianie było naprawdę bardzo dobre. Tłuszczu było pod dostatkiem - dostaliśmy smalec, margarynę, kakao i inne dobre rzeczy. Myśleliśmy, że już tak będzie. Posa tym przyodziali nas wszystkich. Dali nam koce, materiały na sukienki, -sukienki. Wszystkie dzieci też zostały przyodziane - każde dostało po dwie sukienki. Można było wytrzymać. Niejscowi dziwili się, że co to się stało, że Polaków tak ubierają, a im nigdy nic nie dadzą. A Polacy mają to za darmo.

Stanisława Nodzeńska c.d.

Tymczasem w szkole dzieje się niedobrze. Dzieci <sup>brudzieją</sup> zaczynają uciekać z lekcji, mówią, że ten pan mówi niezbyt dobrze po polsku. Pani Patłowa <sup>nie mogła być rzymską</sup> postanowiła wyjechać i gdzieś wyjechała. Ja zostałam w tej Nikołażce, bo gdzie będę jeździć. Zaczęłam szukać jakiejś pracy. Poszłam do artelu, gdzie robili swetry do szpitali, papucie z rozmaitych odpadów. Robiono to na drutach.

A przedtem jeszcze była taka historia: pewnego razu prowadzę lekcję, rozmawiam z dziećmi - i tu nagle przychodzi niewiadomo kto, wkracza do klasy i pyta mnie: "Kto wy takaja?" Pyta o drugą nauczycielkę. Pyta mnie - czy przeczytałam dzieciom komunikat z gazety. Odpowiadam, że dzieciom gazet nie czytam, że dzieci mają przedmioty szkolne - język polski, rosyjski, historię i t.d. Ja też nie czytałam gazet, bo gazet nie kupowałam. Wtedy on pokazał mi gazetę, a tam był artykuł o tym, że Sikorski zdradził naród polski, że on jest taki owaki. Ten wizytujący zapytał mnie, jakie jest moje zdanie na ten temat. Powiedziałam, że to moja prywatna sprawa - i na tym rozstaliśmy się. Po chwili przyszła Szewkan i pyta, kto u mnie był, o czym rozmawialiśmy i jakiego ja byłam zdania. Odpowiedziałam tak, jak to było. Wtedy Szewkan dała mi zwolnienie z pracy. <sup>Paru dni</sup> <sup>roczkałam uci lodzie</sup> <sup>- pracowałam 9 dni w klasie</sup> <sup>- mamusia</sup> Jakies dwa miesiące przetrwałam bez szkoły. Potem znów wiatr się zmienił i biorą nas z powrotem.

gdzie?

Odranizował się Związek Patriotów Polskich. Jest rok 1943. Wanda Wasilewska robi ruch, tworzy wojsko i jeszcze coś tam. Mam tutaj powieстки - wezwania do wojska. Stawiłam się na to wezwanie <sup>do Młotyszek</sup> /, pytają mnie o męża. Powiedziałam, że mąż jest u Andersa i że nie będzie wyglądało dobrze, że mąż jest tam, a ja w drugim wojsku. Odprawiono mnie do domu, niw wzięto do wojska. Potem znów sytuacja się zmieniła. Na stanowisko wrócił p. Szymberski Tadeusz - to był ten mąż zaufania ambasady polskiej. To był bardzo miły pan, z zawodu skarbowiec, wracaliśmy potem razem do Polaki, w jednym wagonie. Jego też przeprosiłam, bo nie udało się ta cała historia ze

Stanisława Nodzeńska c.d.

*Wczasy*  
Związkien Patriotów P<sub>o</sub>lskich. A to było tak: pewnego dnia wzywają nas do rejonu - do Kaliniskoje - na zebranie. Ma się tworzyć Związek Patriotów Polskich. Ma się tworzyć oddział dla zesłańców z tego naszego rejonu. Przychodzimy my, cała gromada kobiet. W dużej sali jest prawie pełno. Wybierają zarząd ZPP. Wywołują nazwiska, bo jakiś tymczasowy nakazowy zarząd już jest. Występuje jedna Żydówka i proponuje listę zarządu. Czyta tę listę - cały zarząd żydowski! Wtedy P<sub>o</sub>lacy wstali - i jeden za drugim zaczęliśmy z tej sali wychodzić. Na sali konsternacja wśród Żydów. Wtedy ktoś powiedział, że wychodzimy, bo ten związek jest widocznie dla nie-Polaków. Wtedy Żydzi wpadli w popłoch, że to jest ZPP. Wcielili wtedy trochę Polaków do tego Zarządu. Ale ja do samego końca nie zapisałam się do tego związku.

Skontaktowałam się z rodzicami. Miałam też kontakt z mężem przez Czerwony Krzyż. Rodziców znalazłam w tej Ferganie.

Wróciłam znów do pracy w przedszkolu. Były różne trudności. Ta p. Szewkan trochę zaczynała brzdzić, bo sama się bała, kiedy modliliśmy się w szkole. Wykładałam to wszystko z pamięci - historię, geografię. Urządzaliśmy występy - jakieś scenki, jakieś żywe obrazy. Ludzie nawet bardzo chętnie przychodzili na nasze imprezy. P<sub>o</sub>laków była w tym kołchozie nawet sporo. /Na zdjęciu przedszkolnym wymienieni są, m.in. Misztakówna S., Jarosz, Deryjówna, Mroczkówna, Czwarciel, Misztale, Janusy, Doboszczuk, Sakasze, Maria Patłowa, Fedzin, Aowalczykowie, Zacharczuk, Natkańce, Kaszowska, Kiselówna, Koryś zygunt, Katanówna, Marian Marzec - zmarł tam na tyfus/. Tu jest jeszcze Barszczówna - wychowawczyni tych salutkich dzieci. Barszczówna jest w Warszawie.

Przedszkole nasze działało do końca, tzn. do chwili repatriacji. Wróciliśmy razem z dziećmi, tzn. dzieci jechały razem z rodzicami. Wróciliśmy w 1946 r.

Potem już w przedszkolu było dość *ciężko*. Ja i p. Szewkan zdobywaliśmy to jedzenie w rozmaity sposób. W 1943 - 1944 rok był nie-

Stanisława Modzeńska c.d.

sanowity głód. Do kołchozu przyjechało bardzo dużo ludzi ewakuowa-  
nych z miast rosyjskich, dużo było ludzi <sup>prze</sup> przesiedlonych z Kaukazu. Ci  
z Kaukazu bardzo chętnie czekali na Niemców - to byli Czerkiesi, Cze-  
ceńcy, Karaczaje i inne narodowości. Ci ludzie padali z głodu. Nas  
ratowało to, że myśmy dostawali jakie takie pożywienie w tym przed-  
szkolu. Ale i u nas były takie przypadki, kiedy my z dziećmiakami  
chodziliśmy zdobywać pożywienie. Poszliśmy do kołchozu z prośbą, że-  
by pozwolono nam pozbierać kłosa na polu po żniwach. I było tak, że  
jeden pozwolił, a druzzy z bahajkami gonili nas po polu - pijani,  
krzyczeli, że nie wolno. Zaorali potem te kłosa, ale zebrać nie  
dali.

W przedszkolu i w szkole były tylko dzieci polskie. W 1944 i 1945  
roku było bardzo ciężko. Byliśmy na wicie rosyjskim, a tam wszystko  
szło dla frontu. Poszłam więc do przewodniczącego kołchozu, żeby  
dał dzieciakom trochę zarobić, bo tego chleba z przydziału jest dla  
dzieci za mało. Pozwolono więc pozbierać groch, a jako wynagrodze-  
nie za pracę - po kilogramie chleba na dziecko. Zrywaliśmy ten  
groch i składaliśmy na kupę. Zapytałam, czy mogą dzieci wziąć tro-  
chę grochu dla siebie. Nie pozwolono wziąć jawnie, ale pozwolono  
po trochu ukraść - schować do majtek czy do kieszeni. Dzieci miały  
więc trochę grochu i dostały po kilogramie chleba. W ten sposób do-  
trwaliśmy do końca. Potem przyszedł rok 1946, dostaliśmy zaświad-  
czenia i szykowaliśmy się do wyjazdu. Wyjechaliśmy 1 czerwca 1946 r.

Moją rodziną goniliam-goniliam i nie dogoniłam. Mąż dostał się do  
tego wojska, straciłam z nim potem kontakt. Do rodziców, jak się  
dostałam do pracy, to wysłałam telegram. Dostałam odpowiedź, że ro-  
dzice są w Dżalalabadzie. Potem moi rodzice i rodzeństwo - wszyscy  
wyszli z Andersem. Kiedy dostałam telegram od rodziców z Fergany,  
to zaczęłam chodzić koło tego, żeby wyjechać do rodziców. Ale pan  
Szyberski odradził mi, sądził, że my wszyscy też wkrótce wyjedzie-  
my, że Anders nas zabierze. Tymczasem stało się inaczej. Rodzice

Stanisława Nodzeńska c.d.

wyjechali dzięki pomocy pana Dwulita. To był podchorąży, mąż mojej kuzynki. A ja zostałam, starałam się wszystkimi możliwymi sposobami wydostać się stamtąd.

Mąż mój wrócił do Polski w 1950 roku z Anglii. Zmarł 10 lat temu. Rodzice moi, brat i siostra zostali na Zachodzie. W Polsce nie mam żadnej bliskiej rodziny, zostałam sama jedna.

Mąż po powrocie przez dłuższy czas nie mógł dostać w Polsce pracy. Chodził od jednego zakładu do drugiego. Jak tylko padało słowo "andersowiec" - to zaraz był koniec rozmowy. A ja wracając do kraju zastanawiałam się, gdzie pójść do pracy. Do zawodu nauczycielskiego nie chciałam wracać, żeby nie mówić czego innego niż to, co wysłę. Nie mogłam się zdecydować. Poszłam w końcu na pocztę. Zatrzymałam się w Oleśnicy, z Oleśnicy pojechałam do Wrocławia. Wrocław był zrujnowany niesamowicie. Szłam tymi ruinami, szłam i trafiłam do Dyrekcji Poczty. Tam bardzo chętnie mnie przyjęli i skierowali do Kamiennej Góry. Przyszłam tu i rozpoczęłam pracę. Pracowałam tu aż do emerytury.

Mąż dłuższy czas był bez pracy. Potem trafił do PZU. Tam inspektorem był pewien pan, który należał do Stronnictwa Demokratycznego. On zdecydował się męża przyjąć. Mąż pracował jako księgowy. Potem zmienił pracę. Był bardzo czynny, należał do ZBOWIDU, do różnych organizacji - udzielał się jak przed wojną.

A mój brat - Apoloniusz Naplocha, ur. w 1908 r., był wojskowym. Był w 85 pp strzelców wileńskich w Nowej Wilejce. Był na froncie, był ciężko ranny w kampanii wrześniowej. Był w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Z tego szpitala był wyprowadzony, żeby nie trafić w niemieckie ręce. Udało mu się uciec przy pomocy óslegniarek i lekarzy. Przedostał się na Lubelszczyznę i tam pracował w konspiracji. Zginął z rąk Niemców. Miał męczeńską śmierć. Nie wiemy, gdzie jest jego ciało, Jest po nim tylko tabliczka pamiątkowa.

Siostra, która wyszła za mąż za inżyniera-chemika i była potem w Stanach - już nie żyje. W wojsku andersowskim była pielęgniarką.